

Antoni Ferdynand Ossendowski

Słoń Birara
fragment rozdziału 10, Osierocony

Po odjeździe Amry i królewicza z Birarą zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Przestał jeść i nie zapuszczał się już w zarośla bambusów po ich świeże pędy. Zapominał nawet o kąpeli. Tkwił na łące jak szara, bezkształtna skała. Z opuszczonymi smutnie trąbą i ogonem, z nieruchomymi uszami drżał cały i ciężko, chrapliwie wzdychał.

Stał się zły i nietowarzyski. Zobaczywszy przechodzącego za parkanem żołnierza, popędził za nim i zamierzał uderzyć go trąbą. Birara napadł na wypuszczone na pastwisko słonie sąsiedniego radży i je pokaleczył.

Przez kilka dni miał jeszcze nadzieję, że ujrzy przyjaciół. Podchodził do sztachet pałacowego ogrodu i trąbił ponuro i błagalnie, jak gdyby pytał: „Kiedy wrócicie? Gdzie jesteście? Czemu opuściliście mnie starego? Tęskno mi za wami!... Przychodźcie! Przychodźcie!”

Nie wiedział strapiony biedak, że ci, których woła, płynęli już na pokładzie pięknego statku i z każdym dniem oddalali się coraz bardziej.

Birara zrozumiał wreszcie, że przyjaciele nagle zniknęli.

„Gdzie są? Gdzie?” – mknęły myśli w stroskanej, mądrej głowie zwierzęcia.

Nie widziano go przez kilka dni.

Oddalił się do wąwozu, gdzie bywał z chłopcami codziennie. Stawał pod skałą okopconą dymem ich ogniska, patrzył smutnie przed siebie i wzdychał. Nie nęciły go już złociste mango i słodkie korzonki na bagnisku.

Wzdrygał się chwilami i nadstawiał uszu.

Hamował oddech, czekając, aż ujrzy tych drogich kochanych chłopców, a potem smutnie zwieszał głowę, bo zrozumiał, że to króliki potracają kamienie (...).

Nadzieja gasła w jego wiernym sercu, lecz nic nie koło jego bólu i tęsknoty.

